

MARZEC

Stoimy na czerwonym świetle. Widzę je przez zalaną deszczem przednią szybę: raz zamazane, raz wyraźne, zamazane, wyraźne. Wycieraczki miarowo przesuwają się w lewo i w prawo. Pod sygnalizatorem, bezpośrednio przed nami, zatrzymał się karawan. Staram się na niego nie patrzeć.

Moje palce zachowują się tak, jakby nie należały do mnie, tylko do kogoś innego. Skubią nitkę z rękawa, obciągają spódniczkę, by więcej zasłaniała. Dlaczego ją w ogóle włożyłam? Na pogrzeb jest o wiele za krótka. Przez to milczenie zaczyna mnie ogarniać panika, ale nie wiem, co powiedzieć. Nic nie przychodzi mi do głowy.

Zerkam ukradkiem na tatę. Jego pusta twarz nadal przypomina maskę. O czym myśli? O mamie? Może też się gorączkowo zastanawia, co powiedzieć, tak jak ja.

— Zapnij pasy — mówię w końcu, zbyt głośno.

Wzdryga się i rzuca mi zdziwione spojrzenie, jakby zapomniał, że w ogóle istnieję.

— Co?

Głupio się czuję. Jakbym mu przerwała coś ważnego.

— Pasy — mruczę pod nosem i czuję, że płoną mi policzki.

— A, tak. — I po chwili: — Dzięki.

Ale wiem, że myślami jest gdzie indziej. Zdaje się, że bierze udział w jakiejś innej rozmowie, której ja nie słyszę. Pasów nie zapina.

Siedzimy obok siebie jak dwa posągi, szare i zimne, na tylnym siedzeniu samochodu.

Jesteśmy prawie na miejscu. Gdy parkujemy przed kościołem, tata kładzie mi rękę na ramieniu i spogląda w oczy. Twarz ma bladą, czoło zmarszczone.

— Dobrze się czujesz, Pearl?

Gapię się na niego. Naprawdę nie stać go na więcej?

— Tak — odpowiadam w końcu.

Wysiadam z samochodu i nie czekając na niego, wchodzę do kościoła.

Zawsze myślałam, że człowiek wyczuwa, gdy ma się zdarzyć coś strasznego. Tak jak latem, gdy zbiera się na burzę, a powie-

trze robi się ciężkie i parne. Wtedy od razu wiadomo, że lepiej się gdzieś schować i przeczekać.

A tu się okazuje, że wcale nie. W tle nie rozbrzmiewa złowieszcza muzyka, jak na filmach. Nie pojawiają się żadne znaki ostrzegawcze. Nawet czarny kot nie przebiega przez drogę. „Stój” — mówiła mama. „Poczekaj, aż ktoś inny przejdzie pierwszy”.

Ostatni raz widziałam ją w kuchni, z fartuchem na wielkim brzuchu, otoczoną formami do pieczenia i miskami, pootwieranymi torbami cukru i mąki. Gdyby nie przekleństwa, którymi obrzucała stary piekarnik, buchający prosto na nią kłębamii czarnego dymu, sprawiałaby wrażenie prawdziwej bogini domowego ogniska.

— Mamo — spytałam niepewnie — co robisz?

Odwróciła się w moją stronę. Była czerwona jak burak, a rude włosy, bardziej rozczochrane niż zwykle, miała tu i ówdzie przyprószone mąką.

— Tańczę tango, Pearl! — wrzasnęła i zamachnęła się na mnie drewnianą łyżką. — Uprawiam pływanie synchroniczne. Biję w dzwon. Nie widzisz?

— Tylko pytałam — odparłam. — Po co się od razu tak wściekać?

To nie było rozsądne. Mama sprawiała wrażenie, że zaraz wybuchnie.

— Piekę pieprzone ciasto.

Tyle że nie powiedziała „pieprzone”.

— Ty? Przecież nie umiesz — zauważyłam.

Rzuciła mi spojrzenie, od którego farba zeszlaby ze ściany, gdyby nie odpadła sama jakieś sto lat temu.

— W tym piecu chyba diabli mieszkają!

— Ale to chyba nie moja wina, co? Sama się uparłaś, żeby się przeprowadzić do tej ruiny, gdzie nic nie działa. W starym domu przynajmniej piekarnik był bez zarzutu. I dach nie przeciekał. A grzejniki naprawdę grzały, a nie tylko wydawały odgłosy.

— Dobra, już dobra. Jeden zero dla ciebie. — Mama przyglądała się jasnoczerwonej prędze na swojej dłoni.

— Może ją włóż pod zimną wodę.

— Owszem, dziękuję ci, Pearl — warknęła — za tę cenną poradę lekarską.

A jednak, wciąż klnąc pod nosem, podeszła do zlewu.

— Czy kobiety w ciąży nie powinny przypadkiem być pogodne i spokojne? Promieniować wewnętrznym światłem i tak dalej?

— Nie. — Skrzywiła się, włożywszy rękę pod kran. — Powinny być grube i często ulegać wahaniom nastroju.

— Aha. — Stłumiłam uśmiech — trochę dlatego, że było mi jej żal, a trochę dlatego, że nie wiedziałam, gdzie w końcu wylądjuje ta łyżka, jeśli tego nie zrobię.

Z holu dobiegło parsknięcie.

— Myślisz, że nie wiem, z czego się śmiejesz? — krzyknęła mama w tamtą stronę.

W drzwiach ukazała się głowa taty.

— Ja? Ja się śmieję? — spytał, spoglądając na nią wzrokiem niewiniątka. — To nie byłem ja. Ja dopiero wszedłem i właśnie zamierzałem ci pogratulować, jak doskonale radzisz sobie z wahaniami nastroju.

Mama spojrzała na niego wilkiem.

— Chociaż, o ile pamiętam — dodał, trzymając się poza jej zasięgiem — to przed ciążą też szło ci to nie najgorzej.

Przez chwilę myślałam, że rzuci w niego ciężkim rondlem. Ale nie. Stała tylko na środku kuchennego pobjowiska, wśród skorupki od jajek i rozsypanego kakao, i śmiała się tak, że łyzy ciekły jej po twarzy, a my nie wiedzieliśmy, czy tak serio to się śmieje, czy płacze. Tata podszedł i wziął ją za rękę.

— Lepiej usiądź, dobrze? — Poprowadził ją do krzesła. — Zrobię ci herbaty. Miałaś się oszczędzać.

— Te cholerne hormony. — Mama otarła oczy.

— Jesteś pewna, że to tylko hormony? — Tata usiadł obok niej. Minę miał niespokojną. — Poza tym nic ci nie jest?

— Daj spokój. Nie panikuj — odparła z uśmiechem. — Czuję się dobrze. Naprawdę. Tylko... Zresztą sam widzisz. Jestem już

tak ogromna, że powinni mi nadać oddzielny kod pocztowy. Bóg jeden wie, jak będę wyglądać za kolejne dwa miesiące. A moje nogi? Spuchnięte w kostkach jak banie. To strasznie denerwujące.

— Ale później sama przyznasz, że było warto się pomęczyć — stwierdził tata.

— Wiem — odparła, składając ręce na brzuchu. — Nasza mała Rose. Będzie tego warta.

Siedzieli i uśmiechali się do siebie tak słodko, że aż się nie-dobrze robiło.

— No tak, pewnie — wtrąciłam złośliwie. — Zarwane noce, śmierdzące pieluchy. Warto jak cholera.

Zdjęłam z oparcia krzesła swoją kurtkę i odwróciłam się do wyjścia.

— Wychodzisz? — spytała mama.

— Tak. Umówiłam się z Molly.

— Pearl, zaczekaj — powiedziała. — Chodź no tu do mnie.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła ręce, jak to ona. Niezależnie od tego, jak bezsensownie by się zachowała i jak bardzo człowiek by się starał jej nie wybaczyć, zawsze potrafiła go udobruchać.

— Przepraszam, kochanie. Niepotrzebnie na ciebie krzyknęłam. Mam potworną migrenę, co nie oznacza, że powinnam się na tobie wyładowywać. Okropna ze mnie jędra.

Uśmiechnęłam się.

— Pewnie.

— Wybaczysz mi?

Wsadziłam palec do miski, zgarnęłam trochę surowego ciasta i oblizałam. Smakowało zdumiewająco dobrze.

— Oczywiście, że nie.

Pochyliłam się nad jej ogromnym brzuchem i cmoknęłam ją w policzek.

— Połóż się może na chwilę. Obejrzyj coś głupiego w telewizji, co? Daj temu biednemu dzieciakowi trochę spokoju.

Zaśmiała się i wzięła mnie za rękę.

— Napij się jeszcze ze mną herbaty przed wyjściem.

— Naprawdę nie mogę. Idziemy do kina, Molly zarezerwo-wała bilety. — Ścisnęłam ją za rękę. — Napijemy się, jak wrócę.

Ale się myliłam.

W kościele jest zimno. Wsuwam ręce głębiej w rękawy, żeby je rozgrzać, ale w trakcie nabożeństwa coraz bardziej lodowacieję od środka. Wyobrażam sobie, jak krew zamarza mi w żyłach i powstają kryształki lodu. Wszyscy wokół mnie płaczą, ale ja nic nie czuję. Tylko chłód.

Wszystko jest źle. Nie tak, jak by chciała mama. Ponura muzyka, monotonny głos księdza. Słów nie słucham. Ciągłe się

zastanawiam, skąd się tu właściwie wzięłam. Jak to się stało, że świat nagle wywrócił się do góry nogami, a ja wypadłam ze swego wygodnego, przewidywalnego życia i wylądowałam tu — w tym zimnym i obcym miejscu.

Wreszcie koniec. Zebrani śpiewają posępną pieśń na wyjście, a ja nie mogę do nich dołączyć. Tylko stoję. Zaciskam szczękę i czuję, jak narasta we mnie panika. Dlaczego nie płaczę? Czy ludzie to zauważą i pomyślą, że nie jest mi smutno? Wysuwam włosy zza uszu i zasłaniam nimi twarz niczym długą, ciemną kurtyną. Wynoszą trumnę przez środek, widzę wypolerowany mosiądz i lilie. Pachną ciężko, oszałamiająco. Czemu akurat lilie? Są takie sztywne i oficjalne. Mama uwielbiała kwiaty, ale dzikie, takie które rosną, gdzie chcą. Żółtawo-różowawy wiciokrzew, wplątany w żywopłoty. Jaskrawe maki na skraju autostrady.

I nagle wiem, że ona tu jest. Że jeśli się odwrócę, zobaczę ją w ostatniej ławce, tylko ją, a ona mi pomacha, uśmiechnie się szeroko i prześle całusa. Tak samo jak wtedy, gdy miałam pięć lat i w przedszkolu występowałam w jasełkach. Serce mi wali i kręci mi się w głowie. Trzęsą mi się ręce.

Odwracam się.

Widzę rzędy poważnych, ubranych na ciemno ludzi. Wspinam się na palce, żeby zobaczyć, co jest z tyłu, za nimi. O, Molly ze

swoją mamą. Obie mają czerwone oczy. Molly mnie dostrzega i smutno się uśmiecha. Nie uśmiecham się do niej.

Ostatnia ławka jest pusta.

Na dworze już nie pada. Stoję i wdycham świeże, wilgotne powietrze. Ludzie ubrani na czarno otaczają tatę, a ja staram się nikomu nie rzucić w oczy. Wysoka kobieta w kapeluszu podobnym do zdechłej wrony mówi tacie, jak bardzo jej przykro. Ale on jej nie słucha. Widzę, jak wsuwa rękę do kieszeni, jak ledwie się powstrzymuje, by nie wyciągnąć telefonu. Chce zadzwonić do szpitala i spytać o stan dziecka, wiem o tym. Jeżeli nie tkwi tam, przy inkubatorze, co się zdarza wyjątkowo rzadko, to dzwoni co godzinę. Wiem, że to przez panikę. Wydaje mi się, że jeśli nie zadzwoni, stanie się coś złego. Nawet teraz, kiedy powinien myśleć tylko o mamie.

Cała grupka schodzi ze wzgórza, a ja trzymam się z tyłu. Z dala od tych wszystkich pań w kapeluszach i ich współczucia. Chcę jak najbardziej odwlec jazdę na cmentarz, która upłynie w milczeniu. Gdy w końcu docieram do lśniącego czarnego busa, tata siedzi już w środku. Zaglądam przez okno, ale przez przyciemnianą szybę prawie nic nie widzę. Jego sylwetka majaczy w głębi za odbiciem mojej twarzy, zniekształconej, chudej i wydłużonej, z olbrzymimi oczami. Te oczy to jedyna